

Natalia Sokokołowska

uczennica klasy IIB Gimnazjum Zespołu Szkół im. Henryka Sienkiewicza w Grabowcu

Mała ojczyzna – ludzie i miejsca

Konkurs literacko-fotograficzny przeznaczony dla szkół gimnazjalnych
powiatu zamojskiego organizowany przez III Liceum Ogólnokształcące
im. C.K. Norwida w Zamościu

Wywiad z Haliną Leleń – Dzieckiem Zamojszczyzny - mieszkanką Żurawłowa

Pamięci tych, których już nie ma.

N.S: Dzień dobry ciociu, dziękuję ci bardzo, że chciałaś się ze mną spotkać. Zdaję sobie sprawę z tego, że niektóre pytania mogą przywołać bolesne wspomnienia. Ale chciałabym poznać historię mojej rodziny, więc zacznijmy. Czy mogłabyś mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie i latach szkolnych?

H.L.: Szkoła do której uczęszczałam miała dwie klasy łączone; to znaczy, że gdy jedna miała czytanie, to druga ciche pisanie. W jednej małej salce siedzieliśmy wszyscy. Przedmiotów było cztery: język polski, matematyka, śpiew i wychowanie fizyczne.

N.S: A Twój ulubiony przedmiot ?

H.L.: Byłam dzieckiem dosyć ruchliwym, więc lubiłam wychowanie fizyczne i śpiew.

N.S: A dalej, jak wyglądała nauka w tej szkole?

H.L.: Nauczyciela mieliśmy tylko jednego aż do końca klasy szóstej. Klasa siódma rozpoczynała się w Grabowcu i tam już każdy przedmiot miał swojego wykładowcę.

N.S: A nauczyciele, którego z nich wspominasz najmilej i najserdeczniej?

H.L.: Kierownikiem szkoły - bo tak kiedyś mówiono na dyrektora - był Pan Rybicki; człowiek wielkiego serca i naprawdę wspaniały wyrozumiały nauczyciel. Gdy teraz nawet po latach o nim mówię, jest mi ciepło na sercu.

N.S: Na pewno miałaś przyjaciół, a czy któraś z przyjaźni przetrwała próbę czasu?

H.L.: To może wydać się niesamowite, ale moim przyjacielem, a potem wielką miłością był mój mąż.

N.S: Jak to?

H.L.: Tak, to były piękne czasy. Gdy ja miałam trzy latka, on miał sześć i opiekował się mną jak starszy brat młodszą siostrą. Później na potańcówkach odgrywał rolę ojca, troskliwego opiekuna. Spędziliśmy razem bardzo dużo czasu. Sama nawet nie wiem, kiedy ta przyjaźń przerodziła się w wielką miłość. W wieku 21 lat zostałam jego żoną i przez 42 lata byliśmy małżeństwem.

N.S: Może teraz kilka słów o rodzinie?

H.L.: Było nas troje - siostra i brat – to moje młodsze rodzeństwo. Rodzice zajmowali się pracą na roli i byli bardzo szczęśliwym małżeństwem, które przeżyło wspólnie 55 lat. Tatuś zmarł wcześniej, mamusia - będąc wdową - żyła jeszcze 15 lat. Jak już wspomniałam w wieku 21 lat wyszłam za mąż i urodziłam dwójkę dzieci: córkę Jolantę i syna Mariana, z których jestem naprawdę dumna.

N.S: Teraz wróćmy jeszcze do odległej przeszłości, do trudniejszych i bolesnych wspomnień. Jak wspominasz czas wysiedlenia? *Nagle na twarzy dotychczas uśmiechniętej starszej kobiety cieszącej się życiem ujrzałam ból i smutek . Pomyślałam, może to niepotrzebne, może już skończę tę rozmowę, ale po chwili podniosła wysoko głowę i z drżeniem głosu zaczęła opowiadać*

H.L.: Był wczesny ranek 12 lutego 1943 roku, miałam wtedy 10 lat . Jak codziennie rano wybierałam się do szkoły, gdy nagle wszedł do kuchni SS-man z karabinem na ramieniu. Mówił coś po

niemiecku, pokazywał coś na migi rękoma. Nie wiedziałam, co się dzieje, gdyż nic nie rozumiałam z jego wypowiedzi. Po chwili wyszedł, a rodzice powiedzieli, żebyśmy się ubrali, bo za pół godziny wychodzimy, a jeżeli go nie posłuchamy, to nas zabije. Naprawdę niewiele można było spakować w ciągu tak krótkiego czasu. Tatuś przed opuszczeniem domu miał w majdoleczku chleb, trochę ubrań, a dla mojego młodszego brata, który miał półtora roku, pieluszki. Zaskoczyło mnie to i do dzisiaj jestem mu wdzięczna za to, że wziął rodzinną fotografię, gdyż teraz po latach jest to moja najcenniejsza rodzinna pamiątka.

Niemiec - ten z karabinem - zaprowadził nas na środek wsi pod krzyż, gdzie byli już zebrani inni mieszkańcy Żurawlowa. Kazali zaprzęgać konie do wozów i my na tych wozach w ten mroźny lutowy dzień jechaliśmy w kierunku Zamościa. Za nami „podróżowali” mieszkańcy Szczelatyna i Skomoroch. Dotarliśmy do Miączyna, gdy nagle jeden z mężczyzn z naszej wioski - Marian Skóra - zeskoczył z wozu i biegł poboczem, a z pobocza nagle skoczył w rów. Wówczas rozległ się straszliwy huk. Na moich oczach został zabity - zastrzelony z zimną krwią. Zobaczyłam po raz pierwszy śmierć, wtedy zrozumiałam, że zaczyna się coś tragicznego w moim życiu.

Do Zamościa dotarliśmy już pod wieczór. Wszystkich nas zapędzono do baraku numer pięć. Zamknięto drzwi, zgaszono światło. Słychać było przeraźliwy płacz dzieci. Było tam tak ciasno, że nie mogliśmy się nawet położyć. Rano przeprowadzono nas rodzinami do następnego baraku tzw. rozdzielnika. Tam oddzielono starców, dzieci do lat czternastu i matki z małymi dziećmi. Osadzono nas w baraku nr 10. Panował tam straszliwy tłok, prycze zapełnione były przez osoby wcześniej przywiezione. Dla nas została zimna podłoga. Dzieci, które były wysiedlone wcześniej, były wystraszone, bardzo mizerne i słabe. Nie widziałam nigdy tylu tak wychudzonych i przerażonych dzieci. One umierały masowo jedno po drugim, a matki płacząc, wynosiły je na rękach do trupiarni...

N.S: *Nagle jej głos urwał się, a po policzkach popłynęły łzy, zakrywając się rękoma, dyskretnie obtarła je. Wówczas spytałam... Ciociu może skończymy tę opowieść? - a ona odpowiedziała:*

H.L: Nie dziecko, już jest dobrze, ale to nadal tak bardzo boli.

N.S: *Moje oczy też napelniły się łzami, miałam ochotę przytulić się do swojej kuzynki, ale co można powiedzieć, jak ukoić te bolesne wspomnienia. Nie byłam pewna czy kontynuować tę rozmowę. Cierpliwie czekałam, po chwili gdy już się uspokoiła, zaczęła opowiadać dalej.*

H.L: Jedzenie było okropne, zupa a w niej brukiew, ziemniaki i woda. Brukwki dużo, ziemniaków prawie wcale. Po dowiezieniu do obozu mieszkańców Grabowca i Grabowca Góry, tłok był taki, że ludzie spali na korytarzach. Mężczyźni w sile wieku byli w barakach: jedenastym, dwunastym i trzynastym. Mój tatuś był w baraku nr 12. Pozostał na miejscu w Zamościu, skąd dojeżdżał do pracy na lotnisku. Z baraków nr 11 i 13 mężczyzn wywieziono do Berlina. Odtąd już nie widziałam swego taty. Baraki były oddzielone jednym rzędem drutów, natomiast cały obóz kilkoma rzędami drutów kolczastych.

N.S: A gdzie gotowaliście, praliście czy w tych warunkach było to możliwe?

H.L: Jeden barak służył jako kuchnia, drugi pralnia, trzeci szpital, a czwarty - trupiarnia.

N.S: Długo przebywaliście w Zamościu?

H.L: Rano 28 lutego wypędzono nas na plac i każde dziecko dostało małą kromkę chleba oraz pół litra kawy. Wsadzono nas do samochodów krytych plandeką i wywieziono na stację kolejową. Były tam pociągi towarowe tzw. wagony bydlęce, do których kazano nam wsiąść. Nie wiem, jak długo trwała ta

podróż.. Gdy pociąg się zatrzymał na czerwono ceglastym dużym budynku wisiał szyld - Mrozy. Na placu stało wiele furmanek, kazano nam na nie wsiadać i zawieziono nas do wsi Kałuszyn. Były tam duże świetlice wyścielone słomą, na niej kazano nam usiąść i dano jeść. Wreszcie do syta - bułeczki, mleko i kawa . Na drugi dzień śniadanie i też obfite. Po jakimś czasie wszedł pewien Pan i powiedział: "Kto chce mieszkać na wsi, niech opuści pomieszczenie i wyjdzie na zewnątrz, a kto chce żyć w mieście, niech zostanie. Nie było z nami tatusia, więc mama zdecydowała, żeby iść na wieś. Dziadzio Pawłowski - krewny ze strony mamusi, kuzynka Kazia Kołodziejczuk i Babcia Rzepka, kuzyn Zygmunt Kokoć też wybrali wieś. Wsiadliśmy na furmankę, wywieźli nas do wsi Marianka koło Kałuszyna i umieszczono w domu, którego mieszkańcy wcześniej umarli na tyfus. W ciągu tygodnia zmarła kuzynka Kaziunia, została pochowana w Jakubowie. Ja, mamusia i dziadzio byliśmy w szpitalu w Mińsku Mazowieckim. Mój dziadzio też tam zmarł i pochowano go na miejscowym cmentarzu, natomiast pozostała część rodziny została zaszczepiona.

N.S: A co działo się potem, dalej mieszkaliście na wsi Marianka?

H.L: Tak. W lecie pasłam krowy za jedzenie, mamusia chodziła do sąsiadów w pole, a siostra zajmowała się młodszym bratem. Tatuś cały czas pracował w Zamościu. Babcia Rzepka z kuzynem wyjechali do Chełma.

N.S: Czy jedliście tylko to, co zarobiliście u sąsiadów?

H.L: Nie, dostawaliśmy też kartki na chleb, marmoladę, kaszę i cukier. Mleko dostawaliśmy od sąsiadów co rano jeden litr.

N.S: A nauka? Czy w tym trudnym okresie można było mówić o szkole?

H.L: We wrześniu 1943 roku poszłam do szkoły we wsi Butki. Chodziły do niej dzieci z okolicznych wiosek i dzieci wysiedleńców. Zeszyty mieliśmy za darmo, natomiast z książek mogliśmy korzystać tylko w szkole.

N.S: Jak długo mieszkaliście we wsi Marianka ?

H.L: Wiosną 1944 roku wróciliśmy do Żurawlowa, do domu. Nie było łatwo, wszystko zostało rozgrabione i trzeba było zaczynać od nowa. Ale w końcu byliśmy razem z tatusiem i u siebie. Przeżyliśmy szczęśliwie jeszcze pacyfikację i przechodzący wschodni front. Nasza wieś miała 39 numerów, numer naszego domu był ostatni, czyli 39. Z naszej wioski podczas wysiedlenia zginęło dziesięć osób, zdarzało się, że po dwie osoby z jednej rodziny. Tyle pamiętam z tego tragicznego okresu.

N.S: A w ten czas powojenny, jak wyglądało życie i w co się ubierano?

H.L: Życie biedne a ubrania skromne, chociaż w większości przeważały wzory tkanin w kwiaty i kratkę. Chodziliśmy w tenisówkach tzw. bielaczkach, do tego skarpetki bądź pończochy. Małe dziewczynki nosiły spódniczki przed kolano, młodzież natomiast do pół łydki, a starsze kobiety do kostek, do tego fartuszki ozdobione lamówką.

N.S: Czy wśród tak wielu obowiązków był jeszcze czas na przyjaciół. Jak spędzaliście wolne chwile?

H.L: Czas z przyjaciółmi wspominam bardzo mile, wraz z rówieśnikami gromadziliśmy się wszyscy w jednym miejscu. Wśród nas było 10 dziewcząt i trochę mniej chłopców. Graliśmy w karty, chodziliśmy na spacer, śpiewaliśmy piosenki i bardzo dużo rozmawialiśmy, było naprawdę bardzo przyjemnie.

N.S: Z biegiem lat wszystko się zmienia, a tak patrząc wstecz, opowiedz jak wyglądały święta i czy tradycje bardzo się zmieniły?

H.L: Pora kolędy to był czas wyjątkowy, na pewno żyło się dużo skromniej niż dzisiaj. Po pośniku szło się na Pasterkę do grabowieckiego kościoła, później paliło się wachy ze słomy i wówczas widać było z daleka wioski pięknie oświetlone.

N.S: A czy choinka była w Twoim domu symbolem świąt?

H.L: Tak, ale też była bardzo skromnie przystrojona ręcznie wykonanymi ozdobami, a zamiast cukierków wieszano się ciastka, najczęściej pierniczki. Te święta to był naprawdę wyjątkowym czasem.

N.S: Będziemy już chyba kończyć, jeszcze tylko jedno pytanie. Jak dziś wygląda ciociu Twoje życie?

H.L: Jestem wdową od szesnastu lat. Mieszkam na wsi sama, ale w każdej chwili mogę liczyć na moje kochane dzieci. Dlatego na zimę ze względu na trudności życia wiejskiego, przenoszę się do córki do miasta – do Zamościa. Czuję się naprawdę dobrze i dziękuję za to Bogu. Gdy wiosną, latem czy jesienią idę sobie przez Żurawłów na spacer, bo przecież tu mieszkam, to zatrzymuję się w miejscu, gdzie kiedyś stał symbol chrześcijaństwa i czynię znak krzyża, na wspomnienie tych bolesnych czasów i w podzięk Opatrzności za to, że była łaskawa dla mnie i ocaliła mi życie. W tym miejscu teraz stoi figura Matki Boskiej.

N.S: Bardzo serdecznie dziękuję Ci ciociu, jestem naprawdę wdzięczna, że mogłam być świadkiem twoich wspomnień trudnych, bolesnych ale i tych szczęśliwych dni w życiu. Zrozumiałam, słuchając Ciebie, jak bardzo my żyjący w dzisiejszych czasach, jesteśmy szczęściarzami i jaki dług wdzięczności mamy wobec Twojego pokolenia. Jeszcze raz serdecznie dziękuję i życzę ci dużo zdrowia i długich lat życia.

H.L: Dziękuję Natałko i cieszę się, że młodzież pamięta o nas i chce poznać historię Dzieci Zamojszczyzny. Chociaż świadków tamtych wydarzeń jest wśród żywych coraz mniej.

Zamość, dnia 28.01.2013 r.

Opieka merytoryczna – Teresa Goździejewska